ŁOWIEC POLSKI



ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZ. ŁOWIECKICH

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 11 (416). *WARSZAWA, 17 marca 1928 r.* *ROK XXI*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec." 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę

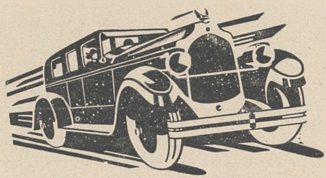
PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem liczymy po 1 zł. **Numer ozdobny — 1,50 zł.**

CENA OGŁOSZEŃ: Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 35 groszy, 2-szpaltowy 75 groszy; przed tekstem: 1-szpaltowy 50 groszy, 2-szpaltowy 1.10 zł.; na karcie tytułowej 1-szpaltowy 70 groszy, 2 szpaltowy—1.50 zł. W numerach ozdobnych ceny o 50% droższe.





CHRYSLER 80



PRZODUJE WSZYSTKIM CHRYSLEROM

Motor sześciocylindrowy. Wał korbowy wsparty na siedmiu łożyskach umożliwia szybkie i równomierne przyśpieszanie bez wstrząśnień. Sprężystość motoru pozwala regulować na bezpośredniej przekładni szybkość od 5 do 128 kilometrów na godzinę. **Hydrauliczne** hamulce, samoregulujące się i niezawodne, wykluczając możliwość poślizgu, działają niesłychanie równo i z wielką siłą. Równolegle, szeroko rozstawione resory umieszczone są blisko kół, co zapobiega wszelkim wahaniom maszyny na boki. Resory te są umocowane do ramy podwozia w gumowych oprawach. Osiem wspaniałych modeli karoserji, zarówno otwartych, jak i krytych, od 2 do 7-mio osobowych, dają najwybredniejszym możność wyboru. Chryslera Imperial "80" można obejrzeć w salonach wystawowych firm sprzedających Chryslery. Może on być dokładnie wypróbowany w ruchu, bez zobowiązania do kupna. Obejrzyjcie również Chryslery 72, 62 i 52. Chrysler buduje maszyny rozmaitych typów i w rozmaitych cenach!

JENRALNA REPREZENTACJA NA POLSKE I W. M. GDANSK: "AUTO-KONCERN" WARSZAWA
SALON WYSTAWOWY: WILCZA 9-A TEL. 123-27. BIURO: WIERZBOWA 8 TEL. 123-29

Chrysler Sales Corporation, Detroit, U S A.

NA TROPACH RYSI.

Jaka to rozkosz na białej, roziskrzonej w słońcu równinie, pod mroźnem słońcem, w lotnych saniach tropić wilki lub rysie, których ślady podobne są do modrych sznurów pereł na niepokalanej gładzi oślepiająco białego śniegu!...

Jaka to rozkosz upijać się cudownie czystem powietrzem leśnem i pędem i mrozem i słońcem! I wiedzieć, że tam za czarną ścianą borów gajowi stchnął do świętego Huberta i począł wyobrażać sobie na tle widocznych przed nim drzew — otropione w gąszczach rysie. Dwa bowiem rysie weszły dziś rano w tę stojącą przed nami, tajemniczą gęstwę, — dwa sznury śladów prowadziły w serce knici, a żaden ślad nie zdradzał wyjścia zwierza... Obecność jego była zatem pewną. Rodziła się jedynie wątpliwość: na kogo wyjdzie?...



RYŚ. *Fot. hr. Zyberk-Plater.*

obeszli dla nas zwierza. I wiedzieć, że każda chwila zbliża nas ku upragnionym ostępom...

A potem stanąć na leśnej trybie — i czekać...

* * *

Cisza... Tylko czasem na mrozie trzaśnie pień drzewny... Las jakgdyby zamarł w bezruchu... Stoi — i czeka, jak myśliwi...

Zagrała trąbka — i umilkła... Ruszyła obława bez głosu. Każdy ze strzelców broń opatrzył, we-

Stanowisko moje było na tropie wchodowym. Kto wie, a nuż rysie na mnie pójdą? Ale jak? Czy w susach spłoszonych, czy wolnym, kocim chodem? Nikt z nas, mimo, iż mieliśmy wśród siebie tak świetnych i doświadczonych myśliwych, jak pp. Świętorzeccy, dotąd w życiu rysia nie zabił... I dlatego wszystkich ogarnęła rozkoszna gorączka oczekiwania...

Oczekiwanie przeszło w rozpacz, gdy obława dotarła do linji myśliwych — a rysie nie wyszły. Jakgdyby zapadły się pod ziemię.

Ruszyliśmy śladem wchodowym zwierza, by rozwikłać zajmującą nas wszystkich tajemnicę jego zniknięcia. Po paru krokach spotkaliśmy bielaka, zagryzionego przez rysia i przysypanego śniegiem. Ryś nie wraca do zamordowanych, napoczętych ofiar. Trop doprowadził nas do wzgórza leśnego, zrytego starymi okopami. W wąwozie pod wzgórzem zniknęły oba rysie. Widać było wyraźnie na śniegu ich susy, prowadzące ku czarnemu otworowi schronu. Oba rysie znajdowały się we wnętrzu wzgórza, w starym schronie wojennym.

Bliskość królewskiego zwierza dodała nam energji. Postanowiliśmy wszystko uczynić, by dostać się do środka schronu i wykurzyć z niego cenną zdobycz. Znalazły się łopaty i siekiery. Poczęto rwać twardy, zlodowaciały śnieg i skamieniałą niemal ziemię — bezskutecznie. To tu, to tam poczynano robotę — i porzucano ją w zniechęceniu.

Tymczasem zbliżał się wieczór. Liljowe cienie padły na śnieg. Gorejące złotem czuby świerków i sosen zagasły.

Poczęliśmy powiększać otwór wejściowy do jamy. Rąbano siekierami drzewo, odwalano bryły śniegu. I — wbrew zakazowi naszemu — dwóch śmiałych leśników spuściło się w mroczną czeluść podziemnego schronu w pogoni za rysiami.

Lecz mrok był tak gęsty, a schron tak wielki i rozgałęziony, iż obaj śmiałkowie nic nie mogli zobaczyć...

Kopanie rysi skończyło się niepowodzeniem. W warownej twierdzy podziemnej drwiły one i szydziły z naszych daremnych trudów... A szybko nadchodzący, zimowy zmierzch otulił wkrótce całą puszczę swoim szarym, opiekuńczym cieniem...

* *
*

Nazajutrz rano gajowi zameldowali znów o otropieniu rysi. Tym razem zwierz zaległ w małej łozinie (niewiększej od 3 hektarów). Szybko ruszyliśmy saniami, a zimowe słońce i mróz i pęd i myśliwska krew grały nam znowu swoje najpiękniejsze pieśni łowieckie...

Do gąszczyku łóz i brzóz, do różowej gęstwiny, której chyba nigdy w życiu nie zapomnę, wiodły wyraźne tropy dwu rysi... Rysi trop, do żadnego innego niepodobny, ma na środku mały wzgóreczek, jakgdyby zwierz idąc, obejmował śnieg...

Myśliwi i obławnicy szybko okrążyli gęstwinę. Ledwie stanąłem w świerkowej kępie i nabiłem broń, zagrała trąbka i wyskoczyły rysie. Jeden stał ukryty za gęstwą szaroróżowych rózeg, drugi — na małej polance — do tygrysa podobny, egzotyczny, o szatańskich, czarnych uszkach, przypominających różki djabelskie... Stały odemnie o 60 kroków — lecz przed stanowiskiem mego sąsiada, p. B. Świętorzeckiego. Ale on ich jeszcze nie widział, zasłonięty kępą świerczyny.

Ogarnęła mnie szalona żądza strzału, pokusa nieprzeparta. Jakiś głos wołał we mnie: „Strzel! Strzel! Możesz! Twój sąsiad nie widzi zwierza!" Lecz drugi głos kazał mi podniesioną do strzału broń opuścić. Rysie były naprzeciwko stanowiska mojego sąsiada... Mogły na niego wyjść...

Tak się też stało. Ryś w przedziwnie lekkich susach ruszył na sztych na prezesa B. Świętorzeckiego i zrulował w celnym, kulowym strzale. Drugi ryś cofnął się na nagankę — wyszedł na gospodarza naszego, p. Krakowa i poległ od jego strzału...

Nigdy nie zapomnę chwili, gdym widział królewskiego zwierza na strzał i zawsze dumny będę, jak z bohaterstwa, że tego strzału do niego nie dałem.

*
* *

Nie koniec na tem historji o rysiach i o Lubaniu. Nazajutrz jedliśmy potrawę królewską, na stołach królów naszych ongi podawaną — pieczyste z rysia. Nie było dawniej dworskiego przyjęcia, ani rycerskiej uczty, wydawanej przez naszych monarchów — bez tej potrawy...

Legenda zaś głosiła, iż dzikie męstwo, przebiegłość i wszelkie przymioty zwierza wstępują w tych, którzy go spożyją. Zbliża się marzec, czas rysiej miłości... Kto wie, czy której księżycowej nocy nie zacznę miauczyć?

*
* *

Piękne były przeżycia w Lubaniu. Z całego serca, z całego myśliwskiego serca dziękuję za nie gościnnemu naszemu gospodarzowi, p. Krakowowi oraz świetnemu organizatorowi polowania p. Dzierdziejewskiemu....

Nadejdą jeszcze nowe zimy i powrócimy ku Lubańskim puszczom, nie jak ku pożółkłym wspomnieniom, ale jak ku wiecznie żywej radości...

JULJAN EJSMOND.

MARUSIA.

Osada Kalenika leżała wśród lasu, którego zwarta ściana otaczała kilkodziesięciomorgową polanę. Część zajmowała szkółka leśna, a resztę — skromne poletka uprawne strażnika leśnego. Niewielki, ale schludny domek, stodółka, a przytem obora i chlewek, przed domem niezbędny żóraw studzienny — ot i całe gospodarstwo Kalenika.

Był to bodaj najlepszy gajowy w całym obszernym majątku grafskim tego zapadłego kąta Polesia Ukraińskiego. Nikt lepiej, jak on nie umiał głuszca osadzić i do niego podprowadzić, a dziki tropił niechybnie. Okoliczni kłusownicy bali go się jak ognia, bo gnębił ich bez pardonu, a gdy przyszło do spotkania oko w oko, szedł śmiało, mimo, że kilkakrotnie robiono zamachy na jego życie. To też złoczyńcy leśni rzadko odwiedzali jego rewir, bo wiedzieli, że prędzej, czy później, przyłapie ich na gorącym uczynku.

Gospodarstwo miał niewielkie, ale zasobne, bo chłop był pracowity. To też pan graf cenił te jego zalety i nieraz hojnym datkiem dopomagał. Kalenikowi sekundowała dzielnie w zajęciach żona jego Paraszka, z którą złączył się węzłem małżeńskim przed pięciu laty, a owocem tego związku była jasnowłosa córeczka, którą rodzice uwielbiali do szaleństwa. Gdy, bywało, Kalenik wracał do domu z ciężkiego obchodu, na który najczęściej przed świtem się udawał, brał Marusię na kolana i słuchał jej szczebiotu, a te chwile szczęścia sowicie opłacały ciężkie i niebezpieczne zadania, z jakiemi zawód jego był fatalnie połączony. Ten człowiek prosty, szorstki, nieraz może okrutny, był względem dziecka anielskiej cierpliwości i dobroci.

A matka? Czyż nie znacie matczynego serca, które nawet pod zgrzebną koszulą bije niepohamowaną miłością dla swego potomstwa. Tylko wyrodki, rzadkie na szczęście wyrodki, uchylają się z pod tego prawa.

*
* *

Wiosna już się rozpoczęła na dobre, wiosna ukraińska, pełna słońca i żywicznych zapachów. O świcie głuszce klapały i telękały zawzięcie, chrapanie słonek słychać było po całym lesie, a na polanach i sąsiednich polach bełkotały przelewającą się gamą czerwonobrewe cietrzewie. Gdy słonce wzbiło się nad horyzontem, śląc swe ożywcze promienie, ukazywały się w powietrzu roje jakichś muszek, czy komarów, unosiły się motyle swym falistym lotem, słychać było rechotanie żab z sąsiedniego błotka, a drozd wycinał swe kuranty tak miłe dla naszego ucha.

O ile jednak w dzień słonko przygrzewało, samo powietrze było jeszcze ostre, a nocami zdarzały się przymrozki. Gdy rankiem wyjść było na dwór, liczne kałuże, pozostałe z wiosennych roztopów pokrywała cienka warstwa szklistego lodu o powierzchni pomarszczonej w zygzaki i trójkąty.

W jedną taką noc chłodną a gwiaździstą, wyszedł Kalenik na swój zwykły obchód. O świcie wstała Paraszka, ażeby się zająć swem gospodarstwem, a gdy słońce wzbiło się na tyle, że zajrzało do izby Kaleników, obudziła się i Marusia, wzywając matkę swym cienkim a dźwięcznym głosikiem. Ta ją umyła, odziała, nakarmiła, aby potem wrócić do swych zajęć.

Marusia, pozbawiona towarzystwa równych sobie wiekiem, umiała się sama zabawić, to kołysząc lalkę, którą jej pani grafinia w podarunku z Kijowa przywiozła, to kopiąc ziemię pod zaimprowizowany ogródek. Dnia tego pobiegła do lasu, może za barwnym motylem, który swym szybkim lotem unosił się z miejsca na miejsce. Dość, że pobiegła i zabłądziła, a gdy chciała wrócić do domu, zamiast jaskrawego słońca polany, widziała szeregi prostych jak świece sosen, ciągnące się bez końca.

Zrazu dziecina zachowywała się spokojnie, bo w tej małej główce nie mogła powstać myśl grożącego niebezpieczeństwa, a oddziaływały na nią wrażenia jedynie bezpośrednich wypadków. Szła więc Marusia naprzód, wołając tylko od czasu do czasu:

— Mamoooo! Mamooo!

Lecz na to wołanie odpowiadał tylko zgiełk ptactwa leśnego, a wśród tego zgiełku dominował śpiew drozda.

Niewiadomo, jak to długo trwało, aż w końcu Marusia, nie mogąc się dowołać swej matki, wybuchnęła rzewnym płaczem. Przysiadła na ziemi, bo ją nożyny od ciągłego dreptania bolały, a wkońcu i głód jej zaczął doskwierać.

— Mamooo, jeść mi się chce!

Odpowiedziała jej cisza leśna, bo i ptactwo ma w ciągu dnia swe chwile wypoczynku; tylko czarny dzięcioł bębnił zawzięcie w drzewo, wydając od czasu do czasu swój głos donośny.

Wszystko ma swój koniec, więc i najobfitsze źródło łez wyczerpać się musi. Marusia była zmęczona przebytą drogą, wyczerpana długim płaczem i głodem. Ani wiedziała kiedy, jak przytuliła swą jasną główkę do pokrytego mchem korzenia sosny i zasnęła. Słońce grzało w tem miejscu, przedzierając się przez rzadkie korony igliwia...

Gdy się dziecko przebudziło, chłód je przejął. Zrazu nie mogło zdać sobie sprawy, gdzie się znajduje. Las pociemniał i zionął chłodem, cisza w nim nastąpiła, słychać było tylko od czasu do czasu złowieszcze „uhu-u-u, uhu-u-u".

— Mamooo, ja się boję! Mamooo! Tatooo!

Cisza... Mrok zapada coraz gęstszy, gwiazdy na nieboskłonie błyszczą pomiędzy koronami drzew, chłód przejmuje ciałko biednej dzieciny...

Wtem Marusia usłyszała czyjeś kroki: s z a l a c h — s z a l a c h... szeleściały po suchych liściach, coraz bliżej, bliżej... Dziecko zdrętwiało ze strachu, gdy nagle rozległo się tuż, tuż donośne nieto szczekanie psa, nieto beczenie i zwierz jakiś



ZIMĄ... *Fot. hr. Zyberk Plater.*

szurgnął z hałasem, uciekając w przestrachu. Dziecko wrzasnęło przeraźliwie i zakryło oczęta rączkami, jakby w obawie ujrzenia czegoś przerażającego. I w tej pozycji została biedna, opuszczona Marusia, aż póki sen nie zmorzył jej ciała...

* * *

Kalenikowa zrazu nie spostrzegła nieobecności Marusi, dopiero, gdy przyszedł mąż z obchodu i zapytał o dziecko, zafrasowała się srodze, sądziła bowiem, że mała bawi się gdzieś na dworze. Wybiegła z domu i zaczęła głośno nawoływać, lecz nikt na to nie odpowiadał. Przyszedł i Kalenik, hukając gromkim głosem, lecz całą odpowiedzią na to ich wołanie, był świergot ptactwa.

Zaczęli oboje szukać Marusi, robiąc coraz większe kręgi wkoło domu i nawołując od czasu do czasu. Wszystko napróżno: Marusia przepadła.

Ciężki smutek osiadł na sercach obojga stroskanych rodziców, gdy noc zapadła; pocieszali się tylko, że dziecku się nic nie stanie, boć w lesie wilków, ani żadnych innych drapieżników niema; więc rano, skoro świt, zaczną córeczki szukać i odnajdą ją przecież.

— Wiesz co, Prokop — rzekła naraz Kalenikowa do męża. Idź ty do Żerewy, do pana nadleśnego, żeby rano zwołał obławników, to łatwiej dziecinę odnajdziemy. Pan Raszyński, dobry człowiek, on nam tego nie odmówi.

Myśl ta podobała się Kalenikowi, więc też szybko nałożył kożuszek, bo chłód był dokuczliwy, wziął z kąta swą dwururkę, nabił fajkę machorką i pełen dobrej myśli, puścił się znaną drogą, licząc, że do świtu milową drogę z łatwością przejdzie. Obawiał się tylko, że przez rzekę nie będzie miał go kto przeprawić, lecz na szczęście obawa ta okazała się płonną, spotkał bowiem nad rzeką dwu rybaków, którzy go chętnie i bezinteresownie na drugi brzeg przeprawili, gdy im powód swej wędrówki opowiedział. Ztamtąd miał już tylko dwie wiorsty do Żerewy, gdzie też stanął, gdy pierwsze brzaski jutrzenki zaczęły wschód rozjaśniać.

Pan Raszyński już wstał, bo był to człowiek wielce pracowity i obowiązków swoich pilnujący. Gdy się dowiedział o celu odwiedzin Kalenika, w tej chwili zawezwał ludzi swych i rozesłał ich do Unina, Kuchar i Nowoźców, aby obławników zebrali i jaknajśpieszniej do osady Kalenika skierowali. Sam zaś przy pomocy Kalenika zaprzągł konie do bryczki i dobrym kłusem pojechał wraz z nim do przewozu. Zbudzili śpiącego jeszcze przewoźnika i przeprawiwszy się promem przez Teterew, raźno pomknęli po dobrej leśnej drodze.

Już było południe, gdy zaczęli ściągać z różnych stron obławnicy. Wszyscy szli chętnie, bo Kalenik oprócz kłusowników, nie miał wrogów w okolicy, a wiadomość o zaginięciu dziewczynki i chęć odnalezienia jej, dodawała wszystkim ochoty. Wreszcie koło 1-ej popołudniu zebrało się okolicznych włościan około setki, a p. Raszyński objął nad nimi dowództwo i plan obławy zarządził.

Obławników rozstawiono na trybie leśnej i puszczono tę niezwykłą nagankę pod kierunkiem trzech gajowych, środkiem zaś szedł p. Rosiński. Rozkaz brzmiał, żeby wszystkie gąszczyki, stanowiące, jakby wyspy wśród wysokiego lasu, starannie przeszukiwano. W razie znalezienia dziecka najbliższy gajowy winien był dać sygnał trąbką, aby ludzi zatrzymać na miejscu. Naturalnym porządkiem rzeczy, Kalenikowa brała też udział w obławie.

Zaczęto brać miot po miocie, okrążając gajówkę Kalenika. Na wysokim lesie obława szła szybko i składnie, gorzej było z miejscami, gdzie po spalonym lesie zaprowadzono gęste zagaje, bo tam trzeba było ludzi skupiać i gąszcze skrupulatnie przeszukiwać. Na szczęście, miejsc takich w rewirze Kalenika było niewiele i gąszcze niezbyt rozległe.

Wzięto już sporo takich miotów i nic nie zwiastowało obecności dziewczynki. Słońce chyliło się ku zachodowi, a jednocześnie straszna troska zaczęła gnębić oboje rodziców na myśl, że przed nocą dzieciny nie odnajdą. A potem co się stanie?

Nagle odezwał się dźwięczny i przenikliwy głos trąbki myśliwskiej, a po linji gruchnęło:

— Jest! jest!

Pan Rosiński był niedaleko od tego miejsca, skąd się sygnał dał słyszeć, pobiegł więc szybko do grupujących się wkoło sosny ludzi, rozepchnął ich i ujrzał na ziemi skuloną, śpiącą dziewczynkę. Ściśniętemi piąstkami zakrywała oczki...

Nachylił się nad nią, delikatnie dotknął się rączek...

— Marusiu! Marusiu!

Rączki były zimne, jak lód... Dziecko nie żyło...

JAN SZTOLCMAN.

BOBRY W DZISIEJSZEJ POLSCE.

(Fragment myśliwskiej monografji o „Bobrze").

Gdy ongi po wód potopie nastąpił potop zieleni, a doliny zalało szumiące morze puszcz, śród tej tryumfującej zieloności mnożył się dziki zwierz, a na błotnistych rzekach królował mądry budowniczy — bóbr — w swoich nawodnych osadach.

Szły wieki za wiekami, ludzkość wyszła z zimnych grot i budować sobie poczęła na wzór bobrowych żeremi chaty na wodzie... Szły wieki za wiekami, a bóbr, prastary zabytek czasów zamierzchłych, ginąć począł w swoich niedostępnych osiedlach... I zdawało się po wielkiej wojnie, że nadszedł u nas jego kres nieunikniony, że zaginęła po nim wszelka wieść...

Aż oto pojawiać się poczęły z różnych stron wiadomości krzepiące: bóbr przetrwał. Lecz rozszalałe kłusownictwo uczyniło wszystko, by przyśpieszyć jego zagładę. Palono chaty. Chwytano w sieci ostatnie bobry i mordowano je, z myślą o sutym zarobku. Złe i bezsilne prawo nie broniło ginącego zwierza w dostatecznej mierze.

I przyszła chwila wejścia w życie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem, które nietylko w dziejach polskiego łowiectwa, ale i w dziejach ochrony przyrody rozpoczyna nową epokę. Bóbr został bezwzględnie ochroniony, za zabicie lub usiłowanie schwytania bobra wyznaczono kary surowe: grzywna 2500 złotych, poza tem 6 miesięcy więzienia i opłata trzykrotnej wartości zwierzęcia co tysiące złotych stanowi. Ochrona bobrów przed zagładą znalazła podstawę prawną do sprawnego działania. Min. Rolnictwa poleciło wojewodom, aby starostowie otoczyli żeremia bobrowe szczególną opieką i pouczyli ludność o grożących karach.

* * *

Bobry w granicach dzisiejszego Państwa Polskiego przebywają w czterech województwach: w woj. Białostockiem, Nowogrodzkiem, Poleskiem i Wołyńskiem,

I. BOBRY W WOJ. BIAŁOSTOCKIEM.

A. POWIAT GRODZIEŃSKI.

Stanowisko Rybaki—Dubno, ur. „Stary Niemen". (gm. Rybaki i gm. Dubno).

Teren bobrowy: jez. St. Niemen i ziemie między tem jeziorem a rz. Niemnem; między jeziorem a rz. Rosią oraz część jez. Okuniewo.

Stan: Min. Rolnictwa usiłowało wykupić od włościan grunty, na których znajdowały się bobry. Mieszkańcy wsi Rybaki, Dubno i Hlebniewicze, nie zgodzili się jednak ani na wykup, ani na zamianę terenów, niezbędnych dla spokoju rezerwatu[1]). Miejscowi kłusownicy tępili rzadkiego zwierza w sposób zastraszający. W r. 1926 zostały zabite w pobliżu Grodna 2 bobry: jeden pod Grodnem przez włościan wsi Konowniki, drugi nieco wyżej przy ujściu rz. Świsłocz przez włościan wsi Ladowicze. Winnych schwytano i skazano na 150 zł. grzywny. W kwietniu 1927 r. również pod Grodnem padła ofiarą kłusowników kotna samica bobra. Sprawę przekazano sądowi pokoju[2]).

W chwili obecnej w obrębie Rybaki „Stary Niemen" stwierdzono stały pobyt 1-go bobra[3]), znajduje się on pod opieką administracji leśnej nadl. Mostowskiego.



BÓBR

II. BOBRY W WOJ. NOWOGRÓDZKIEM.

A. POWIAT LIDZKI.

Stanowisko Perekop.

Teren bobrowy: starorzecze Perekop w pobliżu st. Mosty, na terenach państwowych lasów oraz na terenach maj. Uniechowo Juljana Moraczewskiego.

Stan: Dyrekcja Lasów Państwowych w Białowieży (Z.O.L.P. Białowieża) w 1921 r. doniosła Ministerstwu o przebywaniu na tych terenach kilku rodzin bobrów. Urząd wojewódzki w Nowogródku w piśmie swojem z 16/VIII 26 r. potwierdza powyższe dane: „bobry zamieszkują w paru miejscowościach (pow. lidzkiego)."

B. POWIAT WOŁOŻYŃSKI.

Stanowisko Potasznia (gm. Baksztańska).

Teren bobrowy: uroczysko Potasznia, na lewym brzegu rzeki Berezy, niedaleko m. Lubcza.

Stan: Urząd wojewódzki w Nowogródku wymienia powyższe żeremia w piśmie swojem z dn. 16/VII 26 r., zaznaczając, iż „ilość jest nieustalona". Dyrekcja Lasów Państwowych stwierdza na wymienionym terenie „obecność bobrów, lecz ilości osiedli nie zdołano zbadać" (1927 r.). Nadleśnictwo Bakszańskie w raporcie statystycznym z r. b. podkreśla, jako dowód pobytu bobrów, świeżo uszkodzone przez nie łozy i osiki".

Stanowisko Naliboki (gm. Nalibocka).

Teren: Puszcza Nalibocka.

Stan: Według ostatnich wieści, nadesłanych z nadl. Nalibockiego, bobry w Puszczy Nalibockiej znajdują się pod opieką administracji leśnej. Przed r. 1916—20 stan ich liczebny był duży. W zimie 1927/28 r. stwierdzono bezsporną obecność 2 sztuk.

[1]) Pismo DLP., Wilno, Nr. 14565 z 18/VIII 26.

[2]) Pismo delegata MWR i OP. do spraw ochrony przyrody do P. Ministra WR. i OP. z 1926 r.

List stud. GGW. p. K. Humanicka do Red. „Łowca P." z 11/X 1926 r.

List Grodz. Tow. Myśl. z 14/V 27 r. do Red. „Łowca P.".

[3]) Raport nadleśniczego Nadl. Mosty z dn. 22/II 28 r.

C. POWIAT NOWOGRÓDZKI.

Stanowisko Bobrowa Łuka (gm. Lubcza).

Teren: Kolonja bobrów znajduje się o 6 km. od Lubczy, w starem korycie Niemna, tworzącem jeziorko Bobrowa Łuka i łączącem się z Niemnem. Jeziorko należy do maj. Lubcza (własność p. Pojkierowej).

Stan: Przy wysokich brzegach jez. Bobrowa Łuka, widać tamę, zbudowaną przez bobry z drzewek i gałęzi. Liściasty zagajnik, rosnący nad brzegiem, jest w wielu miejscach pościnany przez bobry, a drzewka wciągane przez nie do wody.

Według p. Michała Kułakowskiego z Lubczy [1]) „bobrów tych jest około 6 sztuk". Według pisma urzędowego U. wojewódzkiego w Nowogródku — „jest ich podobno 3 pary" [2]).

Stanowisko Kanał Święcicki (gm. Krzywoszyn).

Teren: bobry zamieszkują w Kanale Święcickim w pobliżu Kanału Ogińskiego, w dobrach Rzepichowskich Jar. Potockiego.

Stan: bobry budują domki, zostawiają ślady, ilość niewiadoma.

D. POWIAT STOŁPECKI.

Stanowisko Stołpce (gm. Stołpce).

Teren: okolica Stołpców.

Stan: Nauczyciel gimnazjum, wg. prof. Szafera [3]), schwytał w okolicy Stołpców parę bobrów. Bobry te, według późniejszych informacyj i wdrożonego śledztwa, zdechły. Danych o stanie bobrów w ok. Stołpców chwilowo brak.

E. POWIAT SŁONIMSKI.

Stanowisko Dobry Bór (gm. Szydłowice).

Teren: wieś Dobry Bór nad Szczarą.

Stan: według pisma Urzędu wojewódzkiego w Nowogródku — 1 gniazdo. Według informacyj nadl. Słonimskiego (z 28/I 28 r.) „ilość sztuk niewiadoma". Pobyt ich jednak nie budzi wątpliwości, bowiem „widziano świeże kawałki łozy, ścięte przez bobry nad Szczarą". Prof. A. Dukalski, który w imieniu Sekcji Ochrony Przyrody, zajmuje się gorąco opieką nad bobrami na Szczarze, określa ilość bobrów pod Dobrym Borem na „dwie rodziny" [4]). Bobry te kryją się w norach brzegowych. Chaty ich zniszczyli okoliczni włościanie, których ofiarą padły w ostatnich latach trzy bobry.

Stanowisko Stare Żyrowicze (gm. Żyrowicze).

Teren: na lewym brzegu Szczary, na gruntach maj. Stare Żyrowicze, naprzeciw wsi Mironim.

Stan: Starosta Słonimski, donosząc pismem z dnia 1/II 28 r. (Nr. 30243/II) o pobycie bobrów w Starych Żyrowiczach, nie podaje bliższych informacyj o ich liczebności. Bobrami opiekuje się z ramienia Sekcji Ochr. Przyrody, gajowy maj. St. Żyrowicze, Nowicki.

Stanowisko Skopowo.

Teren: przy rzeczce Skopowo, wpadającej do Szczary, w odległości 3 km. po rzece w górę od wsi Ugły.

Stan: Urząd wojewódzki w Nowogródku stwierdza na powyższym terenie obecność 1 gniazda bobrów [5]).

[1]) list z 26/II 26 r.

[2]) pismo Nr. 5742 RW/II z 16/VII 26 r.

[3]) list do prof. Schechtla z 11/VIII 27 r.

[4]) Ochr. Przyrody. Zeszyt 7, Nr. 131.

[5]) Pismo U. W. w Nowogródku z 16/VII 26 r. Nr. 5742/RW./II.

Stanowisko Byteń—tama (gm. Byteń).

Teren: na tamie i przyśluzku lewego brzegu Szczary, należących do Zarządu Dróg Wodnych [1]).

Stan: Bobrami opiekuje się z ramienia Sekcji Ochr. Przyrody stróż jazowy (jaz Nr. 9) Zarządu Dróg Wodnych.

Stanowisko Byteń—Złotowo (gm. Byteń).

Teren: na lewym brzegu rz. Szczary, na odcinku Byteń—Złotowo, w odl. 4 klm. od mostu kolejowego pod Byteniem [2]).

Stan: Bobrami opiekuje się z ramienia Sekcji Ochr. Przyrody osadnik wojskowy J. Więckowski.

Stanowisko Podłuże (gm. Kostrowice).

Teren: Przy folwarku Podłuże.

Stan: 1 gniazdo.

Stanowisko Wólka Reginowska — Dobromyśl.

Teren: na rzece Szczarze, między jazami Nr. 4 i 5. od wsi Wólka Reginowska, do wsi Dobromyśl (pow. Baranowicki).

Stan: 5 gniazd [3]).

„W latach 1921—24 ilość bobrów dochodziła tam do 22 sztuk. Część zginęła z ręki kłusowników, część zaś powędrowała w górę rzeki, część zaś w dół rzeki [4]).

F. POWIAT BARANOWICKI.

Stanowisko Dobromyśl (gm. Dobromyśl).

Teren: dobra Jundziłła [5])

Stan: kilka rodzin bobrów w stanie osiadłym [5]).

III. BOBRY W WOJ. POLESKIEM.

A. POWIAT KOSOWSKI.

Stanowisko Żygulanka I (gm. Piaski).

Teren: ur. Olchowy gaj nad rz. Żygulanka (nadl. Wiadotupickie), oraz tereny dóbr Piaski hr. Pusłowskich i drobnych właścicieli na prawym brzegu rzeki Żygulanki.

Stan: Bobrowy rezerwat na rz. Żygulance w nadl. Wiadotupickiem (ur. Olchowy gaj utworzono zarządzeniem b. Dyr. Gen. L. P. w 1924 r. zarządzeniem z 18/X 24 r. (Nr. 99/II). Rezerwat powyższy znajduje się „pod stałą opieką i kontrolą administracji leśnej" [6]), a liczebny stan bobrów szybko się zwiększa. Podczas gdy w r. 1923 (a więc przed stworzeniem rezerwatu), ilość bobrów w ur. Olchowy gaj oceniano na 2 sztuki, sprawozdanie statystyczne Dyrekcji L. P. w Białowieży w 1924 r. wymienia tam 6 bobrów, a w 1926 już 20 sztuk tej rzadkiej zwierzyny.

Stanowisko Żygulanka II.

Teren: nad rz. Żygulanką (nadl. Kartuz-Bereskie).

Stan: Bobrowy rezerwat na rz. Żygulance w nadl. Kartuz-Bereskiem utworzono w 1924 roku. Stan bobrów w r. 1923 wynosił wg. danych statystycznych 2 szt., w 1924 — 5 sztuk, w 1926 — 4 sztuki, zaś w roku bieżącym — 5 sztuk.

[1]) Pismo star. Słonimskiego z 1/II 28 r. Nr. 30243/II.

[2]) Przewodniczącym Sekcji Przyrodniczej jest profesor gimnazjum Dukalski. Kółko ma zamiar z wiosną, za zgodą właścicieli gruntów, odrutować kolonie bobrowe.

[3]) Pismo U. W. w Nowogródku z 16/VII 26 r.

[4]) A. Dukalski: Ochrona Przyrody" zeszyt 7. (VIII/27 r.).

[5]) Pismo star. Słonimskiego z 1/II 28 r. Nr. 30243/II.

[6]) Pismo DLP. Białowieża Nr. 355/I/5 z 30/III 26 r.

B. POWIAT STOLIŃSKI.

Stanowisko Drożdyń.

T e r e n: W Ordynacji ks. Karola Radziwiłła, ok. wsi Drożdyń, pow. Stolińskiego, są i w innych miejscowościach [1]).

IV. BOBRY W WOJ. WOŁYŃSKIM.

A. POWIAT KOWELSKI.

Stanowisko Gródek (gm. Gródek).
T e r e n: w okolicy Gródka.
Stanowisko Zielona (gm. Turzyska).
T e r e n: we wsi Zielona.
Stanowisko Osiecznik (gm. Turzyska).
T e r e n: we wsi Osiecznik.
Stanowisko Górniki (gm. Górniki).
T e r e n: w okolicy Górnik.

B. POWIAT ŁUCKI.

Stanowisko Łuck.
T e r e n: w okolicy Łucka.
Stanowisko Kołków (gm. Kołków).
T e r e n: w okolicy m. Kołków.
Stanowisko Zaułok (gm. Silno[2]).
T e r e n: pod lasami ks. Radziwiłła, we wsi Cholniewicze, futor Zaułok.
S t a n: 9 sztuk bobrów—bez należytej opieki [3]).

C. POWIAT RÓWIEŃSKI.

Stanowisko Berezno.

T e r e n: w lasach dóbr Berezno[4]).

[1]) Wiadomość powyższą podaje p. nadl. F. Rożyński w odp. na kwestjonarjusz o rozmieszczeniu w Polsce zwierzyny łownej (1928 r.).

[2]) Wiadomość powyższą podaje prof. Szafer (z Krakowa) w liście do prof. E. Schechtla z 11/VIII 27 r., zawierającym m. in. wykaz stanowisk bobrów na Wołyniu.

[3]) Według informacji inż. Skrzypka, prezesa Koła Miłośników Łowiectwa.

[4]) Wszystkich PP. Myśliwych, którzy posiadają jakiekolwiek informacje o bobrze w Polsce, proszę o łaskawe zawiadomienie mnie o tem pod adresem naszej redakcji.

D. POWIAT ZDOŁBUNOWSKI.

Stanowisko Chorów (gm. Chorów).

T e r e n: na rz. Horyń.

* * *

Dokładne zbadanie rozmieszczenia bobrów i określenie ich ilości, jest niesłychanie trudne, zwłaszcza wobec trudności związanych z ich nocnem życiem i z niedostępnością terenów, na których przebywają. Obecność bobrów stwierdzają nam niezaprzeczenie świeże ich ślady w postaci powalonych i ogryzionych drzew, świeżo zbudowanych chat i tam, lub świeżo wykopanych nor.

Dzieląc się z Szanownymi Czytelnikami wiadomością o wszystkich stanowiskach bobrowych w Polsce, zaznaczyć muszę, iż szczególne badanie ich trwa nieustannie, a dalsze wyniki tych badań ogłoszone zostaną w swoim czasie na łamach „Łowca Polskiego".

Z 27 wyliczonych przezemnie stanowisk bobra w Polsce, kilka stanowisk wołyńskich budzi pewną wątpliwość, jako że nie zostały sprawdzone w ostatnich czasach. Można zatem z przybliżoną dokładnością ilość bobrowych stanowisk w Polsce określić na 25. Co do ilości bobrów, to niewątpliwie ścisłe jej określenie jest zupełną niemożliwością, według jednak danych statystycznych, bobrów w Polsce jest około setki.

Zważywszy, że w Ameryce północnej z pozostałych w górach Airondack w r. 1895 kilkunastu bobrów, po otoczeniu ich troskliwą opieką władz— po 25 latach w r. 1920, doczekano się około 10 tysięcy sztuk tego cennego i rzadkiego zwierza, należy nie tracić nadziei, wierzyć w przyszłość bobrów polskich i usiłować odrodzić je wszelkimi sposobami. Władze nasze myślą obecnie o odświeżeniu krwi polskich bobrów przez sprowadzenie do kraju bobrów z Norwegji. Nad znajdującymi się dziś w kraju bobrami roztoczono ścisłą i pieczołowitą opiekę. Nie możemy dopuścić, aby rzadki i tajemniczy zwierz, pomnik prastarych czasów, zaginął — jak zaginęło tyle innych tworów dawnej przyrody...

JULJAN EJSMOND.



Bobrowa chata nad Szczarą. *Fot. prof. Antoni Dukalski.*

POLOWANIE NA GĘSI.

Zbliżała się wiosna i związany z nią w tym kraju przelot gęsi. Wiele nasłuchałem się o tych wiosennych polowaniach i dużo sobie po nich obiecywałem. Przelot tych ptaków był tu masowy. Podążały one z Kaspijskiego morza na daleką północ, do brzegów Lodowatego Oceanu, gdzie się dopiero licznie gnieździły. Przelot ten pochłaniał cały miejscowy świat łowiecki, który już zawczasu przygotowywał wszystko potrzebne do wypraw.

Ponieważ nigdy wyłącznie na gęsi nie polowałem, a spotykałem się z niemi u nas tylko w jesieni przygodnie i wypadkowo, postanowiłem wykorzystać moją obecność w Wiatce i urządzić sobie to polowanie możliwie najlepiej.

Pierwszym wstępem do niego było szczegółowe wypytywanie znajomych, a zasługujących na wiarę myśliwych, o warunki oraz miejscowość, w której gęsi najobficiej przeciągały i zapadały.

Z tego, co usłyszałem, doszedłem do wniosku, że w zależności od poziomu wiosennych wód zmieniały gęsi miejsce ciągu i zapadów. Było to całkiem logiczne. Wezbrane, wiosenne wody Wiatki występowały z brzegów, tworząc wylewy szerokie na kilkanaście kilometrów i zależnie od poziomu, mniej lub więcej pokrywały, znajdujące się tam wyniosłości gruntu.

Gęsi najchętniej zapadały na małych niezalanych kawałkach wysokich łąk, na których świeża trawka stanowiła ich pożywienie. A więc zależało od tego, na którym szerokim wylewie, w chwili masowego przelotu, znajdzie się najwięcej tych niezatopionych wysepek. Sam przelot trwał równo dwa tygodnie, a najsilniejszy przypadał na czwarty i piąty dzień po ukazaniu się pierwszego stada.

Wyraźnie wynikało z tego wszystkiego, że nie należało siebie przykuwać do jakiegokolwiek stałego punktu, lecz zaopatrzyć się w środki lokomocji, dające możność prędkiego przerzucenia się z miejsca na miejsce. To też przedewszystkiem zamówiłem na okres dziesięciu dni motorową łódź, omówiłem warunki z maszynistą, zakupiłem odpowiedni zapas benzyny, oraz wynająłem zwykłe czółno, które miało być holowane przez motorówkę, a służyć do przejazdów po płytkich wylewach. Przygotowawszy zapas żywnościowych produktów i odpowiednią ilość amunicji, czekałem ukazania się pierwszych ptaków.

* * *

Przepiękna swą żywiołową gwałtownością i niezwykłym urokiem jest wiosna dalekiej północy. Zima nie ustępuje tu do ostatniej chwili. Pod wpływem coraz to cieplejszych promieni wiosennego słońca, pęcznieją miarowo śniegi i lody, aż w końcu brzemienne wodą puszczają i uchodzą raptownie. Jak różdżką czarodziejską dotknięta ożywa przyroda i powietrze się napełnia niezwykłym gwarem ptactwa, które leci, warczy skrzydłami, świszcze, kwacze i gęga. Powietrze drży od najrozmaitszych głosów, a dusza myśliwska wzbiera, pochłaniając te dźwięki idące z nieba.

Woda w rzekach gwałtownie przybywa, pękają z głuchym trzaskiem lody i tworząc ruchome góry w dzikim, chaotycznym bezładzie, trąc się jedne o drugie, z szumem spływają. Powstają nowe rzeki, rwą leśne ruczaje, formują się zatory na drogach, ustaje wszelka komunikacja, a w sercach ludzkich zapanowuje niezwykła radość.

Dzień ruszenia lodów na Wiatce, to ogólne święto. Mieszkańcy miasta śpieszą na wyniosły jej brzeg, skąd nasycając się przepięknym widokiem, stwierdzają koniec długiego okresu zimowego i przyjścia upragnionej wiosny, a z nią ciepła i światła.

To też ulegając ogólnemu uniesieniu, znalazłem się na wybrzeżu, gdzie już zebrało się w pełnym składzie całe towarzystwo myśliwskie. Obliczano dnie i godziny wyjazdu na polowanie, a z oczu świeciła radość i nadzieja na dawno upragnione łowy. Pierwsze pytanie mego łotysza, którego tam również spotkałem, było:—„kiedy jedziemy"? Żywiołowy przelot ptactwa porywał dusze myśliwych, ale niestety, brakło nam skrzydeł, a już niechybnie, ulegając prawom wszechmocnej natury, nie usiedzielibyśmy na miejscu.

Rzeczywistość zmuszała zaczekać na spłynięcie lodów, bez czego nie był do pomyślenia wyjazd na motorówce. Upłynęło długich kilka dni, przez które badaliśmy stan uchodzącej kry, aż oczyściła się rzeka i dawno niewidziany błękit szerokich wód zajaśniał w promieniach słońca w pełnym, a czarującym swym przecudnym blasku.

Wszystko było gotowe do drogi. Ułożywszy rzeczy do motorówki i holowanej łodzi, w piękny słoneczny dzień po południu odbiliśmy od brzegu. Zawarczał motor i, prując lustrzaną, błękitną toń, pomknęliśmy w szeroką, wodną dal. Malało miasto za nami, umilkał jego szum, a przed nami rósł i potężniał szeroki przestwór lazurowych wód. Zakołysała się motorówka na falach, podskakiwała holowana łódź, a my, zapatrzeni w przelatujące sznury i trójkąty dzikich gęsi, wchłanialiśmy całą duszą wieczne piękno przyrody. Im niżej ciągnęły ptaki, tem realniejszą stawała się rzeczywistość, tem więcej podniosły nastrój, tem częściej sięgała ręka po strzelbę.

Przyłożyłem lornetkę do oczu. O pół wiorsty przed nami widniała nieduża wysepka formalnie pokryta gęśmi. Skierowaliśmy motorówkę wprost na nią. O kilkaset kroków z głośnem gęganiem zaczęło się podnosić ptactwo. Przybiliśmy do brzegu i sporządziwszy na poczekaniu małe budki z gałązek jodłowych, ukryliśmy się w nich, odsyłając łodzie w dół o kilometr. Pod wieczór ostrożne ptaki ściągały z powrotem. W małych odstępach czasu leciało stado za stadem, niektóre przelatywały dalej, a były i takie, które wyraźnie zdradzały chęć zapadnięcia. Zagrzmiały nasze strzały. I zanim liczne rzesze nie przekonały się o niebezpieczeństwie grożącem na wyspie, kilka okazałych ptaków utraciło życie.

Piekielnie są twarde gęsi na strzał. Często słyszałem uderzenie śrutu o ich szare pancerze, jak o suchą deskę, a ptaki, jak gdyby nic, leciały dalej. Wziąłem na to polowanie najlepszą moją broń — Greenerówkę 12 cal. najwyższej marki. Oczywiście, że dawało mi to znaczną przewagę przed innymi myśliwymi, strzelającymi ze zwykłych śrutówek, ale i pomimo tego na dziesięć strzałów podnosiłem zaledwie dwie — trzy sztuki. Bezwątpienia odgrywa tu największą rolę optyczne złudzenie przestrzeni. Duże ptaki, przelatując o 120 kroków, zdają się być nie dalej niż o sześćdziesiąt i stąd ciągły zawód i wyrzekanie. W stosunku do grubości śrutu, to wbrew zapewnieniom Oberlaendera (der Lehrprinz) stanowczo twierdzę, że otrzymywałem najlepszy rezultat, strzelając 5,5 mm. śrutem. Przypuszczam, że Oberlaender nigdy nie polował na przelotach gęsi, skoro nie wspomina o dalszym strzale niż na sześćdziesiąt kroków, zalecając przytem strzelanie w pogoń i w dodatku 3, 5 mm. śrutem. Ciekaw jestem, czy nawet przy swej niemieckiej zimnokrwistości, potrafiłby się powstrzymać od strzałów na

80 i 100, których tu przypada w stosunku do bliższych 90 na setkę, oraz czy przepuszczałby po za siebie ciągnące stada i strzelał do ptaków zawsze pod ogon. Nie wyobrażam też sobie, by widząc dziesiątki tysięcy, a może nawet i setki tysięcy przelatującego ptactwa i czując swoją bezsilność i trudność zdobycia z tej olbrzymiej masy nawet kilku sztuk, mógł się powstrzymać myśliwy od dalszego strzału, dającego jednak przy użyciu grubego śrutu pewne szanse zabicia.

* * *

Zaczynało ciemnieć, należało pomyśleć o noclegu. Wylądowaliśmy w tym celu na dużej wyspie, p o r o s ł e j młodą jodłą i lipą. Rozbiliśmy namiot, rozniecilismy ognisko. Noc była cicha gwiaździsta, łagodne wiosenne niebo. Z cichym pluskiem rozbijały się lekkie fale o brzegi wyspy, a z góry przemawiały niemilknące głosy przeciągającego p t a c t w a. Warczały skrzydła licznych odmian północnych kaczek i nurów. Rozbrzmiewał melodyjny głos wielkich kulonów, kwakały k r z y ż ó w k i gwizdały ozdobne cyraneczki, gęgały szare gęsi, którym odpowiadały z dołu nocujące na wyspach. Od czasu do czasu przerywały ciszę rzewnie zawodzące łabędzie, lub całkiem mi nieznane, to kraczące, to śpiewne głosy mieszkańców polarnych stref.



Drzewo nad Szczarą nadgryzione przez bobry.

Fot. prof. Dukalski.

Odszedłem od ogniska i długo stałem u brzegu, zasłuchany w nocny koncert nad wodami północy. O ileż był on odmienny i dzikszy, niż rodzimy naszych wód i lasów.

O pierwszym świcie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Nad wodnym przestworem stała gęsta mgła, przysłaniająca wszelki widok. O kilkadziesiąt już kroków straciliśmy z oczu brzeg wyspy i zupełną świadomość kierunku. Oczywiście, że w takich warunkach nie mogliśmy płynąć, a więc znów szukaliśmy jakiegokolwiekbądź lądu, by przystać i doczekać chwili opadnięcia oparów. Wkrótce, jeżdżąc po omacku, dotarliśmy do jakiejś wysepki. Gęganie gęsi dolatywało ze wszystkich stron, ale po przez mgłę nie było widać ani jednej sztuki. Na wszelki wypadek odszedłszy od naszych łodzi, stanąłem przy pierwszym większym krzaku w przewidywaniu, że jeżeli jaki sznur naleci, to napewno będą bliskie strzały. W istocie, nie kazały gęsi długo na siebie czekać. Coraz to głośniej rozbrzmiewało gęganie licznego stada i wkrótce ujrzałem nad sobą, wynurzające się z mgły, duże ptaki. Padły dwa moje strzały, a dwie gęsi ciężko uderzyły o wyspę. Coraz mocniej osiadały opary, w górze zaczął przeglądać błękit, lekki wiatr zmarszczył lustro wody i w całym majestacie, lejąc złocistymi promieniami, wypłynęło z po za błękitnego pasma lasów wschodzące słońce.

(Dok. nast.). BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI.

M A J A K I.

Zmrok już zapadł. Przez otwarte okna huczy niemilknący zgiełk ulicy. Czyste jak łza niebo jesienne, zrumienione daleką zorzą, zdziwionem, bladem okiem zaglada poprzez spiętrzone dachy i kominy do wnętrza małego pokoiku. Tonek siedzi na otomanie, a wzrok jego biegnie w jasny jeszcze przestwór szerokiego świata, majaczący w górnych szybach wąskim skrawkiem dymnego złota.

Zaraz zapalą światło, skończy się ta chwila mistyczna, gdy myśl szybuje w nieznanej dali. Zapanuje wkoło życie realne, matka zabierze się do szycia, a chłopca czeka nauka.

Lecz tymczasem fantazja pracuje. Myśl biegnie po linji, wytkniętej przez świeżo czytaną książkę. W uszach dzwoni „zew krwi" — ponure wycie przytłoczonego przez srogą zimę, północnego wilka, oczy widzą spienione nurty czterdziestomilowej rzeki, to znów tchnący prahistorją ziemi bój olbrzymiego łosia z krwawym łowcą leśnym — zajadłym Buckiem na tle ponurego, świerkowego wąwozu przestronnych gór Alaski.

A wtem dźwięk znany przedarł się przez gwar uliczny, a serce chłopca drgnęło. Ostry, przenikliwy głos gęsi zadzwonił dźwięcznym dyszkantem przez turkot wozów, przez wrzaski bawiących się dzieci i ochrypły szwargot żydowski.

Często głos ten słychać jesienią w mieście, często też widzieć można ładowne wozy, zastawione drewnianemi klatkami, napchanemi białem, szarem i pstrem ptactwem, ściągniętem kędyś z szerokich ściernisk i wiezionem na targowisko.

I za każdym razem, gdy głos ten doleci do uszu Tonka, z chłopcem dzieje się coś dziwnego, coś, czego sobie żadną miarą nie może wytłumaczyć rozwijająca się coraz silniej inteligencja i samowiedza.

Pamięta siebie małem dzieckiem, gdy krzyk gęsi czynił już na nim silne wrażenie, niemające nic wspólnego z lękiem lub przykrością.

Krzyk ten wprowadzał go w jakieś nieznane progi, dusza odrywała się od chwilowych wrażeń i leciała gdzieś w dal. Czuł wówczas w sobie jakąś przestrzeń bez miary, i szeroki powiew bezimiennych wiatrów, widział bezkres jakowejś pustki, słyszał niejasne szmery i odgłosy.

Z czasem w wizjach tych, powtarzających się za każdym usłyszanym głosem gęsi, zaczął rozróżniać szczegóły, wyłaniały mu się coraz dokładniej pewne formy, wyraźniej brzmiały melodje...

I teraz oto tajemny głos otworzył mu wrota na szerokie widnokręgi. Chłopiec ujrzał szaro-zielonkawą, bezmierną pustkę, nad nią blade, uśmiechnie-

te, perłowe niebo, płonące tęsknym rumieńcem nad dalekim widnokręgiem. W niejasnych szmerach rozróżniał gwar jakichś głosów i odległy, miarowy rytm, niby bijącej o twardy brzeg, fali morskiej.

Często mówił z matką o tych dziwnych odczuciach, ale zapracowana kobieta, obarczona w swem wdowieństwie kilkorgiem drobiazgu, mało zwracała uwagi na wynurzenia syna.

Tonek starał się wmyśleć w te dziwne odczucia, analizował, tłumaczył, — nic nie pomagało, wizje ginęły równie nagle, jak przychodziły, subtelny nastrój, stworzony przez głos ptaków, niknął równie tajemniczo, jak powstawał, rozwiewał się, niby dym, zostawiając w duszy tylko nieznaną, bezimienną tęsknotę.

I dziś, jak zawsze, chciał Tonek przedłużyć chwile mistyczne, lecz obraz, brużdżony przez nurtującą go myśl, zacierał się, niby fata morgana, i ginął, aż ulotnił się zupełnie, a przed rozszerzone oczy wypłynął znowu widok swojskiego, ale jakby w tej chwili ciasnego pokoju, plamy świetlne na ścianie od zapalonej latarni ulicznej i błyszczący starem złotem brzeg ramy portretu...

Po chwili ułuda pierzchła zupełnie, gdy weszła matka z zapaloną lampą i postawiła ją na stoliku, pokrytym pluszową serwetą.

— Tylko patrzeć, jak wuj nadejdzie, — rzekła, — herbatę już przygotowałam, wcześniej, niż zwykle, bo dzisiaj przecie odjeżdża do domu.

— Ach, wuj... — przemknęło przez myśl Tonkowi, — może będę mógł pojechać do niego, zobaczyć prawdziwą wieś.

Po herbacie wuj zapalił swą zwykłą fajeczkę, a Tonek przysiadł się do niego na kanapie:.

— Wie wuj, — rzekł, — że dostałem odznaczenie za strzelanie do celu w naszej drużynie szkolnej.

— Brawo! ślicznie! To pewnieby się chciało i zapolować, prawda?

Chłopak skinął głową.

— A wiesz co? Jak będę już w Słonimie i obejmę nadleśnictwo, to przyjedź do mnie na wiosnę. Sprobujemy. Cietrzewie tam będą i słonki, kaczory, a i gęsi dzikie, przelotne zawsze się trafiają nad Szczarą.

— Dziękuję wujowi! To dopiero będzie uciecha! — i Tonek aż klasnął w dłonie. — A... czy dzikie gęsi podobnie krzyczą, jak swojskie?

— A cóż cię ich krzyk specjalnie obchodzi? Zresztą zobaczysz sam, posłyszysz napewno, trzeba tylko wybrać odpowiednią porę, połowę kwietnia.

— To właśnie Wielkanoc, doskonale! Mam dwa tygodnie świąt. Jeśli tylko mama mię puści, to przyjadę.

— Puści, puści, już to załatwimy. Odpoczynek ci się też należy po tej srogiej nauce, a przecie egzaminów jeszcze w tym roku nie masz?

— Nie, jeszcze nie, dopiero na przyszły rok czeka mię ta przyjemność, brrrr...

* * *

Minęła zima, pochmurna, kapryśna zima warszawska, ociekająca brudną wodą rynsztoków, zamglona dusznym oparem ulicznym. Niekiedy tylko blady dzień słoneczny spływał na zmartwiałą ziemię, zakwitał na krótko, niby słaby uśmiech chorego dziecka, i znikł, zduszony ponurym szeregiem słotnych godzin, przesłaniających okna firanką deszczową, lub białą wizją, topniejącego natychmiast i pokrywającego ulice brudną, wstrętną kaszą.

Z nastaniem dni cieplejszych słońce też częściej zaglądało na ziemię, wznosząc coraz wyżej swe życiodajne oblicze i darząc boskim uśmiechem stęsknione za światłem i ciepłem rzesze ludzkie. Kwiecień nadszedł, niosąc pierwsze, nieśmiałe wonie rozkwitających pąków, szmery krzątaniny owadziej i wesołe głosy ptaków.

Hen, za miastem, nad olchowem błotem przypływała o zmierzchu tajemnicza, długodzioba sylwetka z miłem uchu myśliwego chrapaniem; na śmiejących się w świetle słonecznem rozlewach słychać było donośne kwakanie kaczek, których liczne stada szybowały falującym ruchem w przezroczem powietrzu.

Nadszedł wreszcie upragniony przez Tonka dzień wyjazdu. Poranny pociąg, znacząc swą drogę białym dymem na tle przeczystego błękitu, niósł go w dal, ku nieznanym przygodom, ku nowym, porywającym czułą duszę wrażeniom.

Ciepły zmierzch otulił już świat mglistą zasłoną, gdy chłopak wysiadł na stacji w Słonimie i odszukał przysłane po niego konie.

W zupełnej ciemności, minąwszy miasto i koszary wojskowe, wjechali na wysoką groblę i most przez Szczarę. Niewidzialna w mroku rzeka szemrała gdzieś w dole głucho, ocierając się ostrym, wiosennym nurtem o pale mostu. Z tajemniczej dali wionął powiew szerokiego przestworza, wiosenną melodją zagrała młoda krew w żyłach. Oczy, wbite w ciemność, ledwo rozróżniały jakieś niejasne kontury ciemnych plam, szeroko rozwarte nozdrza wchłaniały woń łąk, zalanych wodą, dyszących pierwszymi pędami traw i wiklin, pąkami żółtego kaczeńca.

W dwie godziny później zasypiał Tonek snem znużonej młodości na górce w leśniczówce wuja, w malutkim, bielonym pokoiku o pochyłym, belkowanym pułapie.

Nazajutrz dzień nastał chłodny i wietrzny. Pędzone nisko, szare zwały chmur przypominały raczej jesień, w całej naturze zapanował zastój, nic nie zwiastowało nadchodzącej pory ciepłej.

Tonek jednak wybrał się na łąki i, zaopatrzony w długie buty, brodził po rozlewiskach nad Szczarą. Stalowe błyski zimnej wody z przeglądającemi z niej, szaro-zielonemi połaciami zeszłorocznej darni dziwne na nim robiły wrażenie. Niby coś znajomego, a odległego i niewyraźnego, jak przebrzmiałe echo snu, budziło mu się w duszy, niby znaną jakąś a zapomnianą melodję wyławiał w ponurem wyciu wichru, huczącego w nadbrzeżnych łozach. Starał się odtworzyć tę znaną nutę, niby pieśń potężną, którą czuł całą duszą, ale nie mógł przełożyć na zwykłe dźwięki.

I znowu dziwny nastrój opanował całe jego jestestwo, znowu wewnętrznym zmysłem odczuł nieznaną przestrzeń, brzmiącą dziwnymi głosami, napełnioną dalekim, jednostajnym poszumem, stanowiącym tło dla dźwięków tajemnej melodji.

Zasłuchany i zapatrzony szedł Tonek przed siebie, gdy wtem z łąki przed nim zerwała się czajka, i kwiląc pieśń wiosenną, poleciała pociągłym lotem w dal. Ten głos realny zdarł zasłonę z oczu chłopca, majaki pierzchły, słyszał znów tylko przeciągłe wycie wiatru i daleki pokrzyk czajki, widział rozlewy na łąkach, obrzeżonych w oddali siną linją lasu, przeciętych srebrzystą wstęgą wijącej się rzeki.

(C. d. n.) WŁODZIMIERZ KORSAK.

Redakcja „Łowca Polskiego" daje dziś Czytelnikom numer ozdobny, — by uczcić należycie zaczynający się w marcu r. b. pierwszy rok myśliwski pod znakiem nowej ustawy łowieckiej, która poczęła nowy okres polskiego łowiectwa.

Numery takie dawać będziemy perjodycznie w miarę możności.

W MARTWYM SEZONIE.

Wielu naszych myśliwych, przeczyściwszy powierzchownie lufy swojej śrutówki po sezonie zimowym, czeka wiadomości o ciągu słonek lub o grze głuszca, czy cietrzewia. Większość jednak, która nie zaznała tych rozkoszy, czeka na otwarcie polowania na błotach, lub nawet na sezon kuropatwiany.

Śrutówka stoi u podmiejskiego myśliwego nabita loftkami w kącie, przy łóżku, w ciągłem oczekiwaniu bandytów; u obywatela ziemskiego nabita dla tychże powodów wisi w gabinecie pana domu nad otomaną, na dywaniku; u snoba i magnata stoi w szafce do broni w jadalnym pokoju, a u przeciętnego inteligenta w pudełku na szafie lub pod łóżkiem, w niewłaściwem często towarzystwie. Nielepiej się dzieje sztucerom i trójlufkom. Wszystko to wystawione na działanie kurzu i wilgoci, do późnej jesieni, a nawet i do zimy, odpoczywa — rdzewiejąc.

Z początkiem sezonu nagle przypomina sobie myśliwy, że na ostatnich polowaniach poprzedniego roku trafiało się czasem niezbijanie (z winy igły lub sprężyny), eżektory nie działały sprawnie, nastawienie wizjera lub lunety nie było w porządku, a nawet i z przykładem jest coś niewyraźnego, bo się zdarzyło kilka niewytłumaczonych pudeł, że zresztą i działanie pocisku na zwierzynę nie było wystarczające.

Wtedy na parę dni przed umówionym wyjazdem gdzieś nad Szczarę, czy Jasiołdę, odsyła się broń na gwałt do puszkarza, aby ten do porządku ją doprowadził. Ale właśnie wtedy (bo takich niedbałych jest u nas legjon) puszkarz jest tak zawalony pilną robotą, że nie może ze wszystkiem na termin wydążyć. Wtedy nie chcąc chybić terminu wyjazdu i zaproszenia, bierze się broń lub sztucer z temiż wadami i brakami i ponosi się naturalnie, skutki swego niedbalstwa w postaci pudeł i postrzałków, oraz kompromitację jako strzelca i myśliwego.

Martwy sezon w łowiectwie trwa od 1-go lutego często do końca marca — ma się zatem dość czasu, aby strzelby swoje doprowadzić do porządku; puszkarze nie mają wtedy robót pilnych, mogą więc z największem staraniem potrzebne koło broni zabiegi poczynić.



PIĘKNA ZDOBYCZ. *Fot. hr. Zyberk-Plater.*

Nawet wtedy, gdy myśliwy w broni swojej żadnych braków nie dostrzega, wskazane jest zawsze po sezonie puszkarzowi ją odesłać dla gruntownego oczyszczenia zamków, odnikliwania i odołowienia luf.

Nawet używając najlepszych ładunków, wskutek zgubnego działania masy kapiszonowej mogą gazy, silnie rdzę wywołujące, przedostawać się do zamków; mogą igły, sprężyny i bezpieczniki nie działać jak należy, nie mówiąc już o tem, że i w zmontowaniu lunety mogły zajść niekorzystne zmiany, które puszkarz zbadać i usunąć może.

Gdyby się okazały przy użyciu lunety niewytłumaczone pudła, należy, gdy niema wady w montowaniu, odesłać szkło do fabrykanta dla gruntownego zbadania; obluzowanie lub złe nastawienie soczewek mogło być również powodem niedokładnego działania i pociągnąć za sobą chybione do szlachetnej zwierzyny strzały.

Konieczne jest zatem dla myśliwego, aby w czasie martwego sezonu wziął swoje śrutówki i sztucery do strzelnicy, aby tam swoją strzelecką sprawność poddać egzaminowi, i na tarczy sprawdzić działanie swoich broni.

Okaże się u wielu z nas, że przykład, który leżał doskonale, dziś nie jest odpowiedni. Figura strzelca z biegiem lat uległa zmianom: przybyło lat, przybyło ciała, okazuje się potrzeba zmiany w przykładzie.

Tam, gdzie jest strzelnica na świeżem powietrzu, tam próbując do znikających celów użycia znanej broni (Jones Try — Gun, Gelenkwehr), z łatwością najwłaściwszy dla myśliwego przykład wybrany być może.

Bardzo często zauważyć trzeba, że z czasem i śrutówki i sztucery gorzej strzelać muszą; w sztucerach rozszerzenie kamery wskutek niewłaściwego czyszczenia daje się często zauważyć, a głębsze zardzewienia również na strzał kulowy zły wpływ mieć muszą. W śrutówkach muszą również:

rozdęcia luf, rozszerzenia kamery, głębokie rany w lufach wpływać niekorzystnie na wynik strzału.

Może i my doczekamy się, że na obszarze budującego się stadjonu stanie prawidłowo urządzona strzelnica, a przy niej instytucja w rodzaju niemieckiego Instytutu do próbowania ręcznej broni palnej, gdzie myśliwy będzie mógł odesłać swoje bronie i sztucery do zbadania, wypróbowania i przystrzelenia za niewielką opłatą. Tam na sztucznych gołębiach i znikających celach będzie mógł myśliwy sprawność swoją i przykładność swoich broni zbadać i odpowiednią wprawę wyrobić.

WŁADYSŁAW SŁONCZYŃSKI.

DONIOSŁE ZNACZENIE KINEMATOGRAFJI DLA ROZWOJU RODZIMEGO ŁOWIECTWA.

Nikt oczywiście przeczyć nie będzie, że kinowe wytwory stanowią pierwszorzędny czynnik propagandowy na każdem polu ludzkiej działalności. Żadne odczyty, referaty, opisy książkowe nie mogą nigdy konkurować z produkcjami dziesiątej Muzy!

Żeby wysłuchać z pożytkiem najbardziej uzdolnionego prelegenta, trzeba przedewszystkiem w ruch wprowadzić mózgowy swój aparat, chwytać myśli i obrazy wypowiedziane słowami! Możliwość tego nie zawsze bywa udziałem każdego osobnika słuchającego audytorjum!... Tembardziej, jeszcze gruntowniejszego przygotowania wymaga książki czytanie! — szczególnie treści naukowej... Do tego dochodzi praca wzrokowa — nieraz bardzo uciążliwa... W kinie zaś sztuka cała polega na patrzeniu i nic ponadto! Wszelkie refleksy zewnętrzne ba! sens moralny wkładany jest, jak łopata w głowę, bezwiednie nawet zmuszając do asymilacji wyników, nawet z dziedziny psychiki duszy i serca zrodzonych w scenarjuszu autorskim i uplastycznionych z mniejszym lub większym talentem przez realizatora!...

Zrozumiano to doskonale zagranicą, szczególnie nasi najserdeczniejsi sąsiedzi Niemcy, a jeszcze lepiej szczęśliwi władcy poddanych tak zwanego Rządu Robotniczo-Włościańskiego „vulgo" Sowietów!... Bajońskie sumy wydaje się na ten cel!

Kursują specjalne pociągi kinowe, dla potulnych (do czasu) — baranków proletarjackich! ...Dla „eksportu" zaś, zagranicą przyznać trzeba, iż taka nawet na oficjalnych „buterbrodach" wypasiona wytwórnia jak bolszewicka „Sowkino" zaczyna produkować obrazy o wysokim poziomie artystycznym (naprzykład „Car Iwan Groźny") ...Przekonany jestem, że wkrótce też oglądać będziemy szereg zdjęć ilustrujących łowiectwo i warunki myśliwskie w krainie Czerwonych Satrapów!... Że, oczywiście pożądane „nastroje" i stan rzeczy bytowania zwierzyny, osiągnięte będą za pomocą szeregu „tricków" — o które „notabene" tak łatwo w dziedzinie kinematograficznej — o tem dwóch zdań być nie może. Potrzebny jednak „szok" w wyobraźni widowni osiągnętym zostanie!... „Czto i trebowałoś dokazat" (co i trzeba było udowodnić) — jak mówią Moskale. Nie dajmy się więc prześcignąć i na tem polu!...

* * *

Nie mówiąc o naukowych wiadomościach i wrażeniach nabytych przez przeciętnych a nawet nieraz bardziej kulturalnych widzów, — ileż to razy, my myśliwi „delektowaliśmy się" „egzotycznymi" filmami łowieckimi!...

Oczywiście, arcy-ciekawą jest rzeczą pogrążyć się za cenę jednej, drugiej złotówki w całkowity przepych roślinności „ekwatorjalnej" — przeżywać emocje łowieckie, patrząc jak szczęśliwi losu wybrańcy „rulują" słonie, nosorożce, hipopotamy, tygrysy i bawoły w dżunglach i lasach Czarnego Lądu lub Indyj tajemniczych!... Sądzę, że dla prawdziwej duszy myśliwskiej, najmniejszy nawet fragment na tle krajobrazów rodzimych — też ogromnie zajmującym być może!.. tembardziej, że i na tem skromnem polu naszych łowisk ojczystych znajdują się w gronie naszej „braci" bardziej i mniej „faworyzowani" osobnicy! Iluż to kolegów z pod zielonego sztandaru „marzyć" nawet nie może o „celnym" strzale do dzika, niedźwiedzia, rysia — głuszca wreszcie, kaczek na zlotach! Tym zaś „szczęśliwcom", którzy mogą i polują na nie, czyż zdjęcia podobne mile przypominać nie będą chwil radosnych przeżyć! Niezawodnie, że tak! Nie mówiąc o wspaniałych zakątkach, o tych naszych niezrównanych poleskich i kresowych „plein'airach" — które to i zagranicę intensywnie też zainteresować mogą. Trzeba, prócz tego, pod uwagę przyjąć, że „qui scit" co za górą, kto wie, jak w przyszłości „ukrystalizują" się u nas zwierzostany pewnych rzadkich gatunków, jak to. niedźwiedzi, łosi, rysi, głuszców poniekąd?!... Mam nadzieję, że nie spotka ich nieszczęsny los żubrów, lecz cobyśmy dzisiaj dali, żeby módz oglądać myśliwego, „rulującego" potężnego byka tego gatunku, na tle swoistego otoczenia, nietkniętej puszczy praojców!... Nieprawdaż?... Więc powtarzam, jest to li tylko z mojej strony czarna supozycja, lecz kiedyś i tęgi odyniec-pojedynek w ogniu padły, tembardziej miś niesamowity, królewski „urogallus" przy elektrycznej projekcji w momencie miłosnego zachwytu tokowego lub przy spadnięciu przez aparat „uchwycony", dalipan, czyż nie historyczną doniosłość mieć będą?... A gdyby nawet, co daj Boże, za lat setkę — było ku radości następnych pokoleń — na naszych terenach szlachetnych tych gatunków jak gwiazd na niebie, jak mrowia w lesie — to chyba oglądanie współczesnych myśliwców, ich strojów, uzbrojenia, sposobów polowania — mieć też będą poważne znaczenie już jako zabytek dawno miniony zamierzchłej przeszłości!

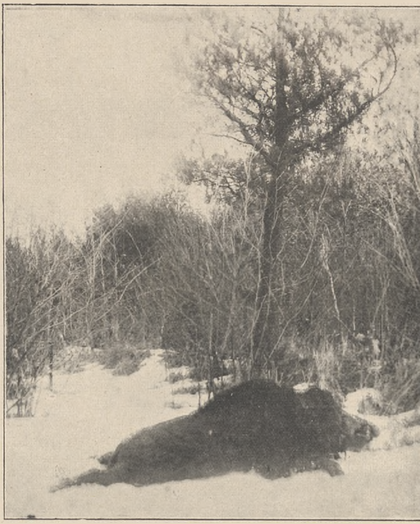
* * *

Zawdzięczając mądrym zarządzeniom Ministerstwa Rolnictwa, jego obecnego kierownika, jako też działaczy odnośnych departamentów z niezmordowanym radcą ministerjalnym, myśliwym-poetą, Juljanem Ejsmondem, obecnie wytwarza się tam, o potężnym planie film krajoznawczy, łowieckimi fragmentami urozmaicony. Zaiste, doniosła i ważna bardzo inicjatywa, za którą szczera wdzięczność, nietylko nas wszystkich, lecz i tych, co po nas nastąpią, należeć się winna!... Pożądanem jednak, według mnie, byłoby, jeśliby kto tylko z najmilszych kolegów naszych z pod znaku Ś-go Huberta posiadał odpowiednie ku temu środki, — prywatnie też zajął się „filmowaniem" swoich i gości swych polowań.

Pewien jestem, że istne „furory" i niewidziany „sukces" wywołałyby podobne łowy, zdjęciami urozmaicone. Z domieszką jeszcze zawsze drzemiącego w każdym z nas pewnego „snobizmu". Bagatela! Siebie samego zobaczyć i to... „excusez du peu" niepudłującego nigdy nawet (na pociechę oczywiście osobników tego gatunku „arkana" kinowe mieć mogą zawsze podobną „konsolację"). Lecz,

przy sprytnych, biegłych operatorach, co za bogactwo rzeczywiście „schwyconych", celnych strzałów, zdjęć cudnych fragmentów widokowych, tajników przyrody wreszcie, typów lokalnych gajusów, miejscowych chłopów, bab, uprzęży i koni nawet!... Drogoby zapłaciła niejedna z pierwszorzędnych wytwórni Hollywoodu za podobiznę niejednego Hryhora czy Wasyla, moczarów poleskich aborygena. To wszystko bardzo piękne, lecz łatwo mówić, a tembardziej pisać, a któż i gdzie wynajdzie amatorów do wykonania zdjęć „prywatnych"? A koszty bajeczne podobnych produkcyj. Czy wozić z sobą armję operatorów? Otóż zdaje mi się, że przy pewnej dozie energji i przedsiębiorczości niejedna z naszych wytwórni zgodziłaby się wejść w „kombinację" z właścicielami obszernych terenów łowieckich, lub wybierających się na ciekawsze polowania. Przecież przed wojną w roku 1913, bez żadnych starań z mej strony, robiono mi propozycje „odkomenderowania" dla mojej osoby technika operatora dla sfilmowania momentu strzału do niedźwiedzia w barłogu (gawrze). Ekspedycja urzeczywistnić się miała w następnym już sezonie zimowym. Niestety, wybuchła wielka wojna, — podczas której już sam sługa łaskawych czytelników począł odgrywać rolę objektu myśliwskiego, na bardzo niewdzięcznych terenach myśliwsko-ludzkich. Nie wiem, jakby to się u nas obecnie ukształtowało i mogło wejść w życie — lecz rzucam myśl. Sądzę, że przed trzynastu laty kunszt filmowy nie dorównywał dzisiejszemu rozrośnięciu się i znaczeniu, a jednakże inicjatywa samorzutna miała miejsce. Dlaczegóżby teraz? Pomijając jednak podobne załatwienie tej sprawy — tyle jest małych, ręcznych, wybornych aparatów, któremi też bardzo łatwo szereg doskonałych zdjęć kinowych dokonywać. Pragnąc, żeby to nie wyglądało na reklamę, nie wymieniam „marek" i „firm", o których każdy, o ile się zainteresuje, z łatwością dowie się i z punktu, przy dobrych chęciach, nauczy się „operować" niegorzej od zawodowego filmiarza. Powtarzam jeszcze raz, — rzucam myśl... Niech ją Święty Patron nasz ma w swej opiece! Ten, któremu się nasza „cześć" należy!

ADAM RZEWUSKI.



KRÓL BORU. *Odyniec zabity przez p. Starzyńskiego.*

NIEMIECKA PRASA MYŚLIWSKA

UKŁAD TECHNICZNY.

W chwili, gdy redakcja „Łowca Polskiego" zdobywa się na pierwszy wysiłek wydania ozdobnego numeru, — podwójnie na czasie będzie omówienie wyglądu i treści niemieckiej prasy myśliwskiej w obecnej jej postaci. Podwójnie aktualny zaś jest to temat, ze względu na numer nadzwyczajny, który omówić zamierzamy, numer Karpacki, a zatem szczególnie myśliwego polskiego obchodzący.

Pamiętamy dawne numery, przedwojenne, myśliwskiej prasy niemieckiej. Jakżeż one były skromne pod względem ilustracyjnym i doboru papieru. Taka „Deutsche-Jaegerzeitung" miała format drobny, który nie zmieściłby nawet poważniejszej ryciny. „Der Weidemann" w kolorowej okładce nie miał nawet tylu stronic, ile normalny obecnie numer „Łowca Polskiego".

Lecz już wtedy niemieckie te pisma miały obfitość wielką ogłoszeń, no i zapewne prenumeratorów tylu, że o takiej ich liczbie jeszcze i teraz marzyć nie może polski tygodnik myśliwski, bo nasze kupiectwo i przemysł są dotąd ogromnie zacofane na punkcie reklam, nie rozumiejąc własnego interesu, nie wiedząc, że reklamy odpowiednio dobierane, zawsze zwracają z dużym zyskiem kapitał w ogłoszenie włożony.

„Deutsche-Jaegerzeitung" szła taką drogą rozwoju, oczywiście zupełnie racjonalną, że najpierw widocznie zdobyła fundusze za pomocą ogłoszeń i prenumeraty, a potem poczęła wydawać stale ozdobne numery.

Pismo to obecnie prawie wcale się nie różni od drugiego pisma niemieckiego „Wild und Hund", które właśnie wydało numer Karpacki. Omawiając przeto ten ostatni i dając charakterystykę jego zewnętrznej postaci, przedstawiamy już zarazem typ obu tych pism, nieznanych myśliwemu polskiemu, zwłaszcza niewładającemu językiem niemieckim.

A więc okładka jest biała, sztywna, jak w niniejszym numerze „Łowca Polskiego"; na pierwszej stronie, obok tytułu, ma ilustrację, obejmującą całą kolumnę. Dalsze kartki o lichym papierze, wypełnia dział ogłoszeniowy.

I oto stwierdzamy, że normalny numer ma tego materjału ogłoszeniowego blisko 20 stronic. Powtarzamy: dwadzieścia! Tymczasem ideałem ilości ogłoszeń w normalnym numerze, nie odświętnym, polskiego pisma myśliwskiego — są 4 strony pełne.

Samych drobnych ogłoszeń jest kilka kartek. Cena jest około 6 (!) razy wyższa od ceny ogłoszeń w „Łowcu Polskim". A jednak są u nas tacy, którzy twierdzą, że nasze ceny powinny być jeszcze niższe. To też charakterystyczną jest rzeczą, że ogłoszenia w niemieckich pismach myśliwskich są prawie wyłącznie małe. Półstronicowe, jak u nas, są rzadkością, a całostronicowych niema prawie wcale.

A teraz przejdźmy do tekstu. Na treść jego składa się 16 stron drukowanych na tanim papierze i 24 strony na lepszym papierze, mniej więcej takim, jak tekst niniejszego numeru ozdobnego „Łowca Polskiego". Jest to jednak wyjątkowo powiększony numer niemieckiej gazety, jako specjalny, Karpacki. Normalny zaś numer zawiera 12 stron na gorszym papierze i 16 na lepszym.

Na gorszym papierze drukuje się to, co u nas w piśmie nosi tytuł: „Sprawy bieżące", a pozatem beletrystyka: powieść w ciągach, nowele, wiersze.

Na lepszym papierze drukuje się artykuły z ilustracjami i winietami.

Oto typowy układ niemieckiego pisma myśliwskiego.

NUMER KARPACKI.

Z kolei opiszemy nieco szczegółowiej treść specjalnego numeru, 5-go, r. b., — Karpackiego.

Rycina na karcie tytułowej przedstawia niedźwiedzia karpackiego, bez żadnego dopisku, ani objaśnienia.

W rubryce „Z dnia" mamy artykuł zatytułowany: „Wystawa trofeów myśliwskich we Lwowie (Małopolsce) od 3 do 19 czerwca 1927". Artykuł wyszedł z pod pióra dzielnego pisarza myśliwskiego polskiego, sędziego St. Orskiego. Artykuł zdobią liczne zdjęcia fotograficzne z wystawy, które były także częściowo w „Łowcu Polskim".

W tejże rubryce znajduje się dłuższa wzmianka d-ra Chr. p. t. „Nowe polskie prawo łowieckie". Na wstępie zaznaczono rozwielmożnienie się kłusownictwa w Polsce. O samem prawie autor wyraża się, że ono „rozpoczyna nową epokę w dziejach łowiectwa polskiego".

Dalszą część „Spraw bieżących" wypełniają rzeczy ogólne i ciąg dalszy noweli.

Część ilustracyjną rozpoczyna rycina z podpisem: „Krajobraz karpacki — E. v. Dombrowski". Pierwszy artykuł, przeplatany ilustracjami, obejmuje 9 (dziewięć) stron. Nosi tytuł: „Stosunki łowieckie w Karpatach przed i po wojnie". Autorem jest lekarz naczelny dr. J. Filipowicz, inspektor łowiectwa na Bukowinie.

Artykuł zdobią następujące ilustracje: „16-tak, pierwszy jeleń, ubity w r. 1849 w miejscowości Berkoweth na Bukowinie" — „22-tak, zabity tamże w r. 1886; dług. 130 cm., rozłożystość wewnętrzna 120 cm., waga 12 kg.", — „12-tak, zabity 1925 r. w Wassertalu (Marmaros) przez generalnego inspektora łow., d-ra Redici; rozłoż. 151,5 cm."—„Rogi jeleni ubitych przez hr. Jerzego Wasilkę". — „Poranek na rykowisku w Konstatach — przez E. v. Dombrowskiego".—„Kapitalny 16-tak, zabity 1926 r. w górach Rodna przez d-ra v. Thurna z Rumbachu; dług. 112 cm., rozl. 141 cm., róże 26 i 25,5 cm., waga 11,8 kg.". — „16-tak, zabity na rykowisku 1927 r. przez inż. R. Sławoja w rewirze państwowym Hrddak; prawy róg 108 cm., lewy 106, rozl. 132; waga 12,76 kg. (!); rekordowe trofeum 1927 w Karpatach czechosłowackich". — „Zabity przez autora w r. 1922 niedźwiedź". — „Ś. p. Karol hr. Forgach, który zaaklimatyzował muflony w Karpatach".

Następuje artykuł na 5 stronach, poświęcony tym muflonom przez Karola v. Thuroczy, przeplatany ryciną muflonową i dalszemi ilustracjami z wystawy lwowskiej.

Rotmistrz Jerzy v. Medveczky opowiada p. t. „Czar Karpat" o swych polowaniach na niedźwiedzie i jelenie, dając parę ilustracyj pomniejszych rozmiarów.

Po artykule p. Hansa z Kasselu p. t. „Jesienne dni w Alpach transylwańskich" następuje: „Nieco o wilku i niedźwiedziu w Marmarosie 1925 i 1927" p. Aleksandra hr. v. Einsiedela, z ilustracjami zabitego przezeń wilka dług. 2 metrów, wysok. 85 cm., wagi 60 kg.

Sprawozdanie z polowania w południowych Karpatach, w rewirze Caras w Rumunji, podaje Jerzy Piper z ilustracjami zabitej przezeń kozicy i zabitego odyńca.

O „radości karpackiej" pisze W. Dubelman.

Kończą część karpacką dwa opowiadania St. W. Orskiego „Z życia rysia karpackiego" w przekładzie na język niemiecki d-ra R. Froma.

Jak widzimy, oprócz prac cenionego pisarza myśliwskiego, oraz zdjęć z wystawy lwowskiej, niemiecki numer „Karpacki" nie zawiera prawie nic polskiego.

J. O.

GOŚCIERADOWSKI ODYNIEC.

Wobec wielkiego zainteresowania się w świecie myśliwskim, odyńcem zabitym w Gościeradowie, pragnę podać kilka szczegółów, dotyczących tego trofeum, rzadkiego ze względu na jego rozmiary i wagę.

Knieja Gościeradowska obfituje w dziki, których rocznie pada kilkanaście sztuk; pozatem jest bardzo dużo sarn, zajęcy i lisów. Jestto bezsprzecznie jeden z najpiękniejszych polskich terenów ze względu na ilość i rozmaitość zwierzyny. Dobra Gościeradowskie, położone w Ziemi Lubelskiej dzierżawimy od W. T. D. (zapis hr. Suchodolskiego), a dyrektorem naszego kółka jest znany myśliwy i hodowca, dr. Mieczysław Hofman.

Na dzień 22 października 1927 r. dyrektor nasz wyznaczył polowanie sportowe. Strzelamy kulami do dzików, rogaczy i zajęcy, a śrutem do lisów i ptactwa. Rozkład tego dnia wyniósł 4 dziki, 2 rogacze, 4 lisy i 10 zajęcy (kulami). Wobec pięknej pogody jesiennej na propozycję dyrektora postanowiliśmy zapolować do południa dnia następnego. Rewir Szczeckich Dołów i Spławy nie dały rezultatu, gdyż dziki widocznie jeszcze nie wróciły do swoich stałych legowisk, wobec czego przejechaliśmy do rewiru Dąbrowa, gdzie zdaniem straży leśnej, stale przebywa wielki odyniec przezwiskiem „Tata".

W piękny, słoneczny, jesienny dzień około godz. 2 w południe, gdy tylko naganka ruszyła, usłyszałem charakterystyczne szczekanie psów, które stale zbliżało się w moją stronę. Stałem za plecionym opłotkiem, trzymając dryling b-ci Rempt cal. 9,3 w ręce, a przed sobą miałem nizki zagajnik, porosły burzanami wysokości metra, a w którym wycięte były w 3 kierunkach wizjery. Las z gęstem poszyciem zaczynał się o 100 kroków.

W pewnym momencie spostrzegłem wielką sztukę, która przeskoczyła lewy wizjer, udając się w kierunku mojego sąsiada z lewej strony, a która nie doszedłszy do linji myśliwych, zawróciła z powrotem do lasu, gdzie pod naporem psów znów na linję myśliwych skierowana została. Spostrzegłem ją o 40 kroków w środkowym wizjerze, gdy na mnie szła na sztych. Zmierzyłem, — to wystarczyło, że sztuka rzuciła się w burzany na prawo i w tym momencie strzeliłem. Efekt strzału był nadzwyczajny, bo zbytecznie skierowałem broń do prawego wizjeru, aby ewentualnie poprawić, tembardziej, że przez wysokie trawy nic nie widziałem, co się ze sztuką dzieje. Wtem usłyszałem chrapanie i rzucanie się na miejscu. Gdy naganka już z gęstego lasu weszła w burzany, — podbiegłem i oczom moim przedstawił się wielki odyniec, właśnie ów „Tata", z kulą wchodową na wysoką komorę z porażeniem krzyża i wychodową poniżej lewej łopatki wskos (stałem na pewnem wywyższeniu). Radość granic nie miała, zbiegli się koledzy-myśliwi, pełno gwaru, życzeń szczerych i przyjaznych.

Po wypaproszeniu waga kolejowa wykazała kg. 210
Przyjmując wnętrzności za „ 80

otrzymamy wagę sztuki kg. 290

czyli przeszło 17 i pół puda. Długość skóry od gwizdu do nasady ogona 2 metry 10 cm. Długość ogona 25 cm. Szerokość skóry po linji brzucha 1,40 mtr., rozpiętość przednich i tylnych racic 1 metr 80 cm., szable długość po linji obwodu cm. 20, fajki 17.

Według opinji wielu doświadczonych myśliwych, jestto jeden z największych odyńców w Polsce zabitych. Fotografja zamieszczona została w Nr. 4 „Łowca Polskiego".

STANISŁAW OCETKIEWICZ.



Z łowów Radziwiłłowskich w Dawidgródku. Od prawej: Arcyksiążę Karol Stefan Habsburg, ordynat M. hr. Zamoyski i Władysław ks. Radziwiłł

Fot. Serjusz - Wolski.

SPRAWY BIEŻĄCE.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

Karty łowieckie. Wskutek nowelizacji ustawy o opłatach stemplowych przez Min. Skarbu, w związku ze zmienionemi w tej ustawie opłatami za karty łowieckie, termin ich wydawania został przesunięty do 1 kwietnia. Do tego czasu ważne są dawne karty łowieckie w ich dotychczasowej postaci.

W najbliższym numerze damy w tej sprawie szczegółowe informacje.

TEKA MYŚLIWSKA MISTRZA SICHULSKIEGO.

Okładkę niniejszego numeru zdobi dzieło mistrza Sichulskiego, który w najbliższym czasie zamierza wydać tekę myśliwską swoich świetnych prac z dziedziny łowiectwa. Prace te wyobrażające zwierzynę łowną naszych kniei, spotkają się niewątpliwie z jaknajwiększem zainteresowaniem naszych Czytelników, którzy będą mogli zamawiać za pośrednictwem Administracji tekę dzieł Sichulskiego ze znacznym rabatem.

PRZESTĘPSTWO ŁOWIECKIE.

Dochodzą nas wieści o niesłychanem przestępstwie łowieckiem, jakiego rzekomo dopuścił się jeden z „polujących" (nie nazywamy go świadomie „myśliwym") zabijając wbrew ustawie i wbrew etyce łosia byka i łosia klępę na Kresach Wschodnich.

Podobno w sprawie tej toczy się śledztwo; po jego przeprowadzeniu podzielimy się z Czytelnikami dalszemi wieściami o przestępstwie, które winno być jaknajsurowiej ukarane.

Zamach kłusowników. — Na skraju lasu, położonego we wsi Grzybowo gm. Okuniew w oddzielnym domku zamieszkiwał gajowy, Jan Rozbicki. Najwidoczniej miejscowi kłusownicy mieli najrozmaitsze do niego żale, bo oto wieczorem nagle dały się słyszeć czyjeś, w pobliżu domku kroki i zanim Rozbicki zdołał się zorjentować w położeniu, huknęły strzały, skierowane do okien domu. Nie ulega wątpliwości, iż był to zamach, zgotowany na życie Rozbickiego. Kule nie dosięgły wprawdzie

Rozbickiego, ale za to trafiły w obecną w mieszkaniu kuzynkę Rozbickiego, Julję Ruta. Nieszczęśliwa ugodzona została w dolną część ciała.

Wilki. — Z powiatu dziśnieńskiego donoszą, że wielkie stada wilków w biały dzień napadają przechodniów i przejeżdżających. W gminie Sużańskiej wilki w czasie pojenia wpadły do obory i porwały cielę.

+ **Przesądy o zającu.** — Z pośród szeregu przesądów, związanych z historją zająca, najciekawszy jest ten, który każe wystrzegać się zajeczego mięsa, jako ujemnie działającego. Nietylko muzułmanom i żydom zabronione jest spożywanie potrawy z zająca, w Bretanji, dawniej wystrzegano się jej również. Niegdyś używano zająca do rozmaitych celów lekarskich, naprzykład: popiół ze spalonego w całości zająca leczył odmrożenia, nacieranie krwią usuwało czerwoność i choroby oczu, zaś mózg wcierany w dziąsła niemowląt, ułatwiał ząbkowanie. Przyłożenie do rany futra zajęczego tamowało krew, a jego czaszka czyściła i bieliła zęby. Przesądy te utrzymywały się jeszcze w niektórych wioskach francuskich, ale zanikają już coraz szybciej.

+ **Oswajanie tygrysów.** — Słynna treserka p. Mabel Stark, na łamach „Daily Mail" opowiada swoje przyżycia z obcowania z tygrysami. Tygrysy z natury są bardzo nerwowe i przeczulone. Najmniejsza rzecz może je wyprowadzić z równowagi i wówczas stają się niebezpiecznymi. Właściwie oswoić je całkowicie jest rzeczą niemożliwą. Do tresury jednak nadają się znacznie więcej niż lwy, są pojętne i uległe. Ale treser nie może ani na chwilę spuszczać z nich oka. Opowiadanie, iż tygrys po zakosztowaniu ludzkiej krwi staje się raz na zawsze niebezpiecznym, jest wierutną bajką. P. Stark wielokrotnie była pokiereszowana przez swych pupilów, które niedwuznacznie zakosztowały jej krwi, a pomimo to w następstwie dały się świetnie tresować. Tygrysy nadają się najlepiej do tresury w wieku lat dwóch. W starszym wieku są już krnąbrne i znacznie dziksze, pomimo to, o ile tresura rozpoczęta była za młodu, mogą z powodzeniem występować do lat 15 lub 20. W ogrodach zoologicznych często dosięgają poważnego wieku lat 35.

+ **Zmierzch białego słonia.** — Biały słoń, fetysz „sjamczyków", zwierz ubóstwiany przez nich i cieszący się takiem samem poważaniem, jak święty byczek Apis w starożytnym Egipcie, stracił nagle prestiż. Pewne przedsiębiorstwo angielskie „Bornes Company Limited", posiadające własne stado słoni, przesłało w darze królowi Sjamu Prajadipokowi nowonarodzonego, białego jak śnieg słonika. Podróż świętego zwierza odbyła się z taką pompą, że koszta jej wyniosły piętnaście tysięcy „tików" (tak się nazywa lokalna moneta). Jakież jednak było rozczarowanie dyrektorów przedsiębiorstwa, którzy liczyli na wdzięczność ze strony władcy (objawiającą się zazwyczaj korzystnemi koncesjami) — skoro otrzymali wzamian za podarek skromniutki order białego słonia piątej klasy. Miarodajne czynniki wyjaśniły ofiarodawcom, że świętość białego słonia jest kwestjonowana przez zmodernizowanych obywateli Sjamu.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: **Jan Sztolcman i Julian Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.**

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Wareckа 16.

WYCZERPANE NUMERY.

Z powodu nadspodziewanie licznego napływu prenumeraty, numery styczniowe „Łowca Polskiego" zostały wyczerpane i nie możemy ich dostarczyć spóźnionym pp. prenumeratorom.

ADMINISTRACJA.

DO SZANOWNYCH P. PRENUMERATORÓW.

Prosimy uprzejmie Szanownych Czytelników „Łowca Polskiego" o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu trzech tygodni od daty wyjścia danego numeru.

